

Kto i dlaczego podsycą wojnę przeciwko polskiej żywności?

9 lutego 2019

Według danych Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej eksport żywca wołowego, mięsa, podrobów i przetworów wołowych w ostatnich latach utrzymuje się w granicach od 470 tys. ton do 490 tys. ton rocznie. Głównym rynkiem zbytu jest UE, której udział w wywozie wynosi ponad 80 proc. Jednak komuś nie podoba się to polskie liderstwo...

Największymi odbiorcami polskiej wołowiny są: Włochy, Niemcy, Hiszpania, Holandia, Wielka Brytania i Francja. Mniejszymi – Czechy i Słowacja, ale to właśnie polscy południowi sąsiedzi prowadzą najostrzejszą walkę medialną przeciwko polskiej żywności. Incydent w rzeźni w Kalinowie – nikt nie kwestionuje, że to haniebny przypadek – starają się wykorzystać do utorowania drogi dla rodzimej produkcji, która ze względu na wysokie koszty nie może jak na razie konkurować z polską. Wojna handlowa czesko-polska trwa już od wielu lat. Był już skandal z jajkami, czepiano się mięsa drobiowego, były problemy z solą, herbatą itd. A teraz kolejny powód do medialnego szkalowania polskiej żywności.

Sputnik rozmawia z panem Jerzym Wierzbickim, prezesem Polskiego Zrzeszenia Producentów Bydła Mięsnego.

– Jak zmienić nastawienie mediów czeskich i słowackich do pojedynczych wypadków naruszenia systemu bezpieczeństwa żywności?

– W systemie RASFF (System Wczesnego Ostrzegania o Niebezpiecznej Żywności i Paszach – przyp. red.) jest wiele zgłoszeń z poszczególnych krajów Europy. W każdym kraju europejskim zdarzają się pewne wpadki. Niestety na całym świecie coś takiego ma miejsce – podkreśla prezes Wierzbicki.

– System obowiązujący w Europie gwarantuje, że jeśli wynikają

problemy z jakimś produktem żywnościowym, to jest to zgłaszane do systemu RASFF, i wszyscy w Europie natychmiast dostają informację, że z tym konkretnym produktem od tego konkretnego producenta jest problem.

Polskie media nie nagłaśniają wpadek czeskich czy słowackich producentów żywności. Zresztą, też trzeba uwzględniać skalę. My jesteśmy liczącym się dużym producentem żywności w Europie. Produkujemy więcej, wysyłamy więcej, więc proporcjonalnie będziemy mieć więcej takich zgłoszeń do RASFF-u, a oni mniej. To wynika ze statystyki.

Czesi uznali, że atakowanie polskiej żywności jest dobrym politycznie instrumentem dla budowania poparcia społeczeństwa czeskiego dla pewnej grupy polityków. Przekonali się o tym wiele lat temu. Sprawdza się to dzisiaj, więc nawet kosztem podważenia zaufania do całego systemu europejskiego nadal te działania polityczne czynią.

Podajemy pewne kroki, aby przekonać Czechów, żeby nie iść tą drogą, ale to jest długi proces. Od kilku lat staramy się zainteresować Parlament Europejski, Komisję Europejską tego typu przypadkami. Chcemy, aby usprawniono procedury i były podjęte działania wykluczające takie sytuacje, kiedy któryś z krajów medialnie próbuje rozgrywać sprawy, które powinny być rozpatrywane przez fachowe służby.

Jeśli chodzi o relacje polsko-czeskie, to należy więcej rozmawiać. Ostatnia rozmowa ministrów rolnictwa Polski i Czech myśle trochę ostudziła atmosferę i napięcie wyłagodziło się. Powinno być więcej rozmów na poziomie ministrów rolnictwa, premierów, prezydentów, a także służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo żywności. Trzeba dyskutować, wyjaśniać. To zawsze wychodzi na korzyść w takich sytuacjach.

– Co konkretnie można zrobić w kraju dla przywrócenia zaufania do polskiej żywności?

– Po pierwsze należy ograniczyć ryzyko powtórzenia się

podobnej wpadki w przyszłości. Była zgłoszona propozycja zaostrzenia kar. Na pewno powinno być bardziej restrykcyjne egzekwowanie kar, które już dzisiaj są przewidziane w kodeksie karnym. Również ważne są konsekwencje dla lekarzy weterynarii, którzy przymykają oko na takie praktyki. One powinny być ostrzejsze, łącznie z utratą prawa wykonywania zawodu na 6 lat. Wstępnie konsultowaliśmy to z Samorządem Lekarzy Weterynarii, i oni popierają takie „samooczyszczanie się” środowiska od tych, którzy naruszają reguły gry.

W ramach Rady Sektora Wołowiny wypracowaliśmy kilka rozwiązań, które zostały przedstawione ministrowi Ardanowskiemu. Pan Zarzecki, prezes Polskiego Związku Hodowców i Producentów Bydła Mięsnego, zaprezentował ministrowi między innymi propozycję obowiązkowego monitoringu we wszystkich zakładach ubojowych. Dzisiaj jest on dobrowolny. Liczące się zakłady mają monitoring, mniejsze nie miały takiego obowiązku. To powinno ułatwić kontrolę, pozwoli upewnić się, czy gdzieś tam nie pojawia się pewna luka, w którą osoby zainteresowane trochę większym zyskiem, niż mają, próbują wejść.

Nie mało ważnym elementem jest też wzmocnienie służby weterynaryjnej. Temu celowi służyło łączenie inspekcji. Nasze środowisko postulowało, aby spionizować te inspekcje. Niestety, polityczne ograniczenia spowodowały, że ta reforma nie jest na razie kontynuowana. Została zawieszona.

Wiceprezes Izby Lekarsko-Weterynaryjnej zdiagnozował sytuację w środowisku w taki sposób, że służby weterynaryjne są niedoinwestowane, i złożył postulat, aby na szybko przeznaczyć w budżecie 160 milionów więcej na tę służbę. Z tego, co słyszałem, minister Ardanowski analizuje tę sytuację. Oprócz tego pojawiły się informacje, że rozważane jest odejście od systemu kontraktowego na rzecz etatowego. Czyli lekarze inspekcji weterynaryjnej byliby urzędnikami państwowymi pracującymi na etatach. Ale to już jest dyskusja między środowiskiem lekarzy weterynarii i ministerstwem rolnictwa.

– Nie wiem, czy tylko ja odnoszę wrażenie, że w całej tej historii niezbyt chlubną rolę odgrywają środki masowego przekazu, przy czym też polskie...

– Mamy pewien dyskomfort, delikatnie mówiąc, ponieważ z epizodu, który się wydarzył w jednej małej rzeźni w Kalinowie, która biła 10 sztuk bydła dziennie, wytworzył się w mediach wypaczony obraz. Gdybym nie siedział w branży, to bym pewnie też wątpił, czy ten system działa prawidłowo. Mamy niedosyt w obiektywności informacji. Zostały zagubione proporcje. Musimy z tym żyć. Burza medialna została rozpętana, potoczyła się po całej Europie. A przecież dla obiektywnego przedstawienia sytuacji powinni pracować głównie fachowcy.

Wiele informacji, które pojawiają się w mediach, a także które podano w samym reportażu „Superwizjera”, opiera się na zasadzie „wierzę – nie wierzę, wydaje mi się, uważam, więc piszę”. Brakowało precyzji, było dużo nadinterpretacji faktów.

Przykład nadinterpretacji: dziennikarz, który był w tym zakładzie, powiedział, że z samochodu wciągnięto martwą sztukę do zakładu. Z tego wyciągnął wniosek, że do zakładu przywieziono padlinę i zakład przetwarza padlinę. Ale on nie wiedział o tym, że jeśli idzie zgłoszenie od rolnika, że krowa złamała nogę, to rzeźnia ma obowiązek pojechać do rolnika i na miejscu ją ubić i w ciągu dwóch godzin przewieźć do zakładu. Jeżeli ktoś tego nie wie, to zaczyna wyciągać daleko idące wnioski z obrazu, który widzi. Niefachowiec zaczyna snuć niekompetentne teorie. Podkreślam, nikt nie kwestionuje jawnych wykroczeń odnotowanych w reportażu, ale jeśli by jego autorzy skupili się tylko na faktach, nie dawali własnej interpretacji, to na pewno skala rażenia w mediach byłaby dużo niższa. Stąd tytuły: „Polacy produkują z padliny mięso...”

W reportażu było o wiele więcej spekulacji niż faktów. Ale takie są teraz reguły gry. Media żyją z sensacji. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. Mamy nadzieję, że najbliższe tygodnie pozwolą wrócić do równowagi.

Z Jerzym Wierzbickim rozmawiała Grażyna Garboś

Źródło: pl.SputnikNews.com